



Mirosław Derecki

## TELEWIZYJNY DANCING W KAZIMIERZU

Panie redaktorze! Gdzie ja jestem, co się tutaj dzieje? Nawet kalafiory i młode ziemniaki można dzisiaj dostać w sklepie warzywniczym, a kielbasę to sprzedają ot tak, po prostu na ulicy i bez kolejek, a jak kto chce, to mu nawet podpieką pół pęta na ruszcie i musztardy jeszcze dodadzą dla uatrakcyjnienia konsumpcji. Ciastkarnia naprzeciwko poczty, rurkarnia (wyrób rurek z kremem) oraz kawiarnia „Kolorowa” pracują na pełnych obrotach, że już nie wspomnę o knajpie-kawiarni w Rynku, gdzie wskaźnik sprzedaży butelkowego piwa bije wszystkie dotychczasowe rekordy, lub o restauracji „Esterka”, gdzie jeszcze przed tygodniem musiałem kelnerom puszczać zajęczki na ścianach, żeby mnie raczyli zauważyć, a dzisiaj to oni wprost człowieka sobie z rąk wrywają – aż głupio...

I jeszcze, aby zwiększyć w mieście liczbę noclegów, przycumowano przy nabrzeżu statek „Izabella”, a tam za jedyne trzydzieści złotych można wynająć pół kajuty – czyli jedno w niej łóżko – i bawić się w matrosa wód śródlądowych, a jak nagle zatęskni się za codziennością, to hajda na pokład, tam kawiarnia spreparowana systemem gospodarczym, od stolików widok prześliczny na rzekę, po której żagłówki „Omegi” z rozśpiewanym bractwem śmigają, a nad głową głośnik potężny ryczy o kwiecie czerwonym i tych żołnierzach ołowianych, pacyfistycznych. Perspektywę pokładu zamyka barek niewielki, a nim znowu piwa a piwa...

Tak więc radość potężna i aktywizacja powszechna ogarnęły Kazimierz nad Wisłą. A wszystko to zasługa Telewizji naszej Polskiej, co zjechawszy do perły polskiego renesansu lub – jak puryści wolą – manieryzmu, w miesiącu sierpniu roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego, turniej miast postanowiła urządzić.

Więc ja się ciszę, cieszę się naprawdę, bo i Kazimierza tego sprzed tygodnia – źle zaopatrzonego, bez krzty inwencji ze strony władz miejskich – nie poznaję, a poza tym poddaję się bezwolnie tej wielkiej fali entuzjazmu, płynącej od kilku dni ze szpalt lubelskich dzienników z racji superwydarzenia, jakim – wiadomo – jest turniej miast, który – wiadomo – jakie nieprzeciętne korzyści przyniesie miastu, powiatom, województwu. Ba, całej Polsce,

która ujrzy na małym ekranie, jakie to dawniej jarmarki w ojczyźnie bywały, jak po słupie namydlonym się włązi, a przede wszystkim jak dwóch starszych panów tarza się nurkuje w stogach siana szukając... jajka. Właśnie ta ostatnia konkurencja turniejowa wydaje się posiadać szczególne znaczenie dla kształtowania w naszym kraju relacji pomiędzy zwierzchnikami a załogami (np. wielkich zakładów przemysłowych). To kapitalny chwyt psychologiczny, to socjologia, to filozofia! Kim był dotąd nierzadko dyrektor? Półbogiem terroryzującym radę zakładową i mający wszędzie chody, a jak mu się ktoś sprzeciwił, to łuskał złotymi zębami, walił pięściami w mahoniowe biurko i ryczał (patrz pierwsze sierpniowe numery „Życia Literackiego”). A tymczasem Telewizja unaocznia, że dyrektor też człowiek jak wszyscy i też da się podpuścić na wygłupy. A jeszcze kamermani tak nakierują obiektywy, żeby dyrektora uchwycić ma czworakach i od tyłu i zbliżenie gotowe. A dyrektor myśli sobie ze swojej strony: „Właściwie to chyba nie taki półbóg ze mnie, tylko zwykły, prosty człowiek, jak tysiące innych, podobny do tych, z których na estradzie w „Zgaduj-Zgaduli” panowie Rokita z Przybylskim zgrywy sobie robią” - i wtedy niejednemu do głowy przyjdzie, że może by już tej rady zakładowej nie terroryzować, nawet zwykłego nacisku na nią nie wywierać, bo wszyscyśmy mali i równi przed kamerami Telewizji, nawet przed tą dziewczyną długonogą, co za reżyserem scenariusz nosi, z zadartym nosem do nieba. Tak, Telewizja to potężny oręż.

Albo weźmy strażaków. Wiadomo, chłopcy jak dęby, od lat rozgrymaszone to, w dziewuchach przebierają jak chcą, hełmami skrzą, toporkami kołyszą. I jeszcze taki jeden z drugim wylezie w pełnym oporządzeniu na namydlony dwunastometrowy słup, pęto kiełbasy zerwie i w tłum wielbicielek ciśnie. Wtedy koniec. Co z resztą męskiej populacji? Nie spojrzą już nigdy na innych przedstawicielki płci pięknej, straż ogniowa skieruje swoje zainteresowania w niewłaściwą stronę, w efekcie - albo niezliczone klaski wywołane przez „czerwonego kura” (biedne, z dymem idące hektary lasów!), albo z drugiej strony - ogólne zakompleksienie większości męskiej części społeczeństwa, i efekt końcowy, tragiczny: zwichniecie wskaźnika przyrostu ludności. Jednakowoż Telewizja czuwa i w swej mądrości każe dzisiejszym strażakom- zwycięzcom słupa rozebrać się do majtek i spróbować jeszcze raz. Strażacy, odarci ze swych atrybutów męskości, sprowadzeni - delikatnie mówiąc - do roli łowców orzechów kokosowych, pozbawieni zostają w sposób prosty nimbu bohaterstwa, który już się zaczął tu i ówdzie kształtować i... cała ponura wizja przyszłości roztoczona w kilku powyższych zdaniach przed Czytelnikiem pozostaje tylko na kartce papieru.

Więc dobrze się dzieje w Kazimierzu nad Wisłą, w tym cichym dotąd i zaniedbanym miasteczku, w niedzielne sierpniowe popołudnie, a i już kilka dni wcześniej, bo przecież, aby zorganizować turnieje, trzeba wiele czasu i ogromnych przygotowań i nie jest to tak, jak niektórzy mało wyrobieni telewidzowie sobie wyobrażają, że hop, hop, do telewizora przez

tylną ściankę wpuszcza się krasnoludków przebranych za normalnych ludzi, a one już tam wszystko same robią i aranżują. Naprawdę to wszystko wygląda bardziej skomplikowanie, pierwszą czynnością ekipy telewizyjnej jest ustanowienie jak największej liczby gigantofonów w różnych punktach miasta i prowadzenie za ich pośrednictwem jak największej liczny rozmów. Daje to bardzo interesujący efekt. Na kilka dni mieszkańcy i wczasowicze zaszywają się głęboko w okolicznych lasach, gdzie budują sobie ziemianki i żyją stadnie, zaś pozostali w mieście starcy i kaleki zostają wkrótce przetransportowani do szpitala dla nerwowo i psychicznie chorych. Nic w tym zresztą dziwnego, Telewizja musi pracować i mieć spokój, nic ją nie obchodzi, że kilka tysięcy ludzi przyjechało na odpoczynek, a zamiast tego żywi się po lasach jagodami i polnymi myszami!

Ale to już potem. Początkowo, ażeby się odbył turniej. Trzeba wybrać dwa miasta lub powiaty, które w nim będą brały udział. Jak ta się robi? Najlepiej przypadkowo. Scenarzysta zawiązuje sobie oczy i tryka zaostrzonym ołówkiem w mapę. Dwa tryknięcia - dwa miasta. Potem niewielka grupa ludzi wyrusza w podróż służbową z Warszawy do tych miast i przekonuje tamtejsze władze, że miasta mają ze sobą wiele wspólnego, mają równe szanse pod każdym względem i wobec tego konieczność dziejowa wymaga, aby stanęły do walki szlachtetnej w szrankach. Władze miast nie są tego tak zupełnie pewne, ale co mają począć, Polak umiera, ale się nie poddaje, więc w szranki stają.

Teraz, kiedy rzecz już ukartowana należy się zastanowić, w jakim celu organizują się całą impreza? Odpowiedź - prosta. Ma ona służyć do tego, aby zaktywizować miejscowe społeczeństwa, no i zaprezentować miasta lub powiaty całej Polsce, przez to je uatrakcyjnić, zainteresować handlowców i turystów itp. itd. Powstaje więc scenariusz turnieju. Poza wspomnianymi już wyżej sztuczkami z zakresu psychologii czy socjologii musi on zawierać jakąś wiedzę o powiatach lub miastach, do których potencjalny handlowiec czy turysta się udadzą, co ich zainteresuje. Po iluś tam dniach wytężonej pracy taki scenariusz jest gotowy i wkrótce cała Polska dowie się, że w jednym mieście przewodniczący wraz z urzędnikami potrafią złożyć wóz drabiniasty, a w drugim - rolnicy odróżniają słomę od siana. A nieraz bywa i tak, że miejscowość jest atrakcyjna z tego względu, iż jeden pan potrafi tak szybko wyrecytować historię swego grodu, że ten drugi, który mu pomaga w ten sposób, iż... siedzi w tym czasie pod wodą, nie zachłyśnie się lecz ujdzie z życiem. Ten ostatni pomysł telewizyjny przypomina mi odległe czasy ministranckie, kiedy na jednym wydechu usiłowało się wyrecytować przed ołtarzem całe „Confiteor” i przyjemna jest świadomość, że również w Telewizji Polskiej pracują koledzy - byli ministraci.

Ale do rzeczy. Scenariusz przygotowany, próby się odbyły, kamermani na stanowiskach, zawodnicy, ba, całe miasta, mają potężnego rausza od wypicia nadmiernych ilości „Nervosolu” zryw aktywnościowy kosztował kupę pieniędzy - ale o to mniejsza, z

wydatkami dawno przestaliśmy się liczyć - a tu się program wali, bo dyrektor babrze się zbyt długo w sianie i nie może znaleźć jajka. Minuty lecą, każda z nich kosztuje Telewizję tysiące złotych, kto za to zapłaci? A jeszcze do Kazimierza przybyły tysiące ludzi, jak na odpust ich wieziono, spotkałem jedną pieszą pielgrzymkę, co spod Częstochowy zawróciła, bo się bała, że inaczej na czas nie zdąży, ci ludzie, pokryci od rana pyłem wapiennym z Trzeciorzędu czekają na jajko, a jajko wciąż gdzieś w stogu. To są kpiny z publiczności, to świadczy o rozgardiaszu organizacyjnym!

Opowiadał mi po turnieju jeden gospodarz - jakeśmy sowietskoje szampanskoje (sic!) w kawiarni sączyli - że przyjechał tutaj specjalnie wydelegowany przez swój powiat (ale nie kraśnicki, ani puławski) w celu kupienia konia na telewizyjnym jarmarku. Niby delegowany - ale kupno konia to za swoje. Lecz honor tu się liczył, bo trzeba być w powiecie najlepszym gospodarzem, żeby w Telewizji konia kupić.

Ale nie o to chodzi, tylko o rozgardiasz. Więc ten gospodarz powiada: *„Panie, dopóki próby szły, wszystko było dobrze. Jakem sprzedawcy rękę przy próbnym kupnie przybijał, to aż mały dymek powstawał. Reżyser mnie chwalił i byłaby chluba dla powiatu. Ale się bez te desorganizacje, bez te jajko tak zalterował że jak już leciało na wizji, w rękę mojemu kupcowi nie popadłem, ino w tego, co sprzedawał krowe, tak krowe kupiwszy na osław powiat podalem”*. Smutne. W dodatki w tym całym ogólnym zdenerwowaniu nasz kolega redakcyjny, Zygmunt Mańkowski, który pod liniami bez przepustki na Rynek się szwarcował, o mało nie został zdeptany przez pielgrzymkę i salwował się ucieczką do Domu Prasy, gdzie spędził resztę czasu krążąc pomiędzy telewizorem a śliwownicą, Potem mówił, że w telewizorze turniej wypadł nadspodziewanie słabo. Wygląda to na złośliwość...

Panie Redaktorze! Nie to, żebym ja był przeciwny turniejom telewizyjnym. Owszem, inicjatywa słuszna i pomysł ogólnie interesujący. Doskonały był kiedyś międzypaństwowy turniej pomiędzy Zakopanem a Starym Smokowcem. Oglądałem też turniej pomiędzy dwoma małymi miasteczkami, które posiadają walory turystyczne, a nikt o nich nie pisał. O Puławach i Kraśniku prasa od lat zapisuje hektary papieru. Ale ja rozumiem. To była tak zwana volta! Reklamowano Puławy i Kraśnik po to, żeby rozreklamować Kazimierz, który ostatnio mocno podupadł! Chyba mam rację. Oto, co pisze sprawozdawca „Kuriera Lubelskiego” z 12 VIII 1963 r.: *Turniej miast z pewnością spełnił pokładane w nim nadzieje. Chyba wszyscy są zadowoleni. Był wspaniałym przeglądem dorobku i możliwości naszych nadwiślańskich powiatów, był znakomitą zabawą, ściągnął do Kazimierza wielu, wielu turystów. Nie zawiedli się i zapewne jeszcze raz przyjadą odkrywać uroki tego pięknego, starego miasteczka*. Tylko a propos tej doskonalej zabawy, to miałbym niejaki zastrzeżenia co do poziomu dowcipów i humoru, jaki nam zaproponowano. Ale zrozumiałe, że po trzynastu turniejach inwencja twórców już się nieco wyczerpała. Feralna trzynastka!

Z turniejowym - Panie Redaktorze - pozdrowieniem z tego całego powiatowego dancingu.

Pierwodruk: „Kamena”, 1968, nr 18, s. 8.